

Bzy

Jak mam opowiedzieć o pięknie. Jak wydobyć poezję, która płynie przez świat niewidocznym strumieniem i wchodzi w pęknięcia chodników, chropowatości murów, w zdrapane kolana, potłuczone butelki, niebieskie przejaśnienia, w krzywizny horyzontu.

Wiesz, kiedy rano się budzę, to próbuję sprawić, aby pierwszym uczuciem dnia była wdzięczność. Zastanów się nad tym, przeniknij myślą magię początku i poczuć się ważny. Z lekkiego zapachu wyspanej pościeli wykluj się do dnia w pokoju, otwórz okno, wejdzie wiatr, niech urosnie ci w płucach wezwanie. Nie bądź głuchy, choć wiem, jak ciężko, kiedy tyle nosisz w sobie kamieni; chrzęszczą, kiedy chodzisz, z uszu ci wystają. Ale poranek zawsze do nas przychodzi, a noce bywały długie i wtedy myśleliśmy: nie ma już wschodów. A kiedy słońce jednak rumiane na niebo wchodziło, to nam się ono bladą krwią mieniło i jakby igłami kłuło nasze ciała.

Nienawidziliśmy powrotów do jawy, szponami nas za gardła trzymała. Czuliśmy, że czas się zapadł, że nic już nie może się wydarzyć, a dni przychodzą do nas z opóźnieniem, jak światło zgasłej gwiazdy, nieświadome swojej katastrofy. Jednak jest inaczej i wiem, że byłam dla ciebie Kasandrą, ale nowe mam teraz imię – nie było prawdy w ciemnych kłębach umysłu.

Wymykam się gołostopymi krokami do kuchni jasnej, porannej. Kuchnia się w poranki lubi, lubię się w porannej kuchni. Parę chwil przygotowań dzieli mnie od kawy, uśmiecham się w zniecierpliwieniu. Sumiennie zapamiętuję radość: koduję świeżość, którą mi w żyły wlewa, rejestruję gotowość do działania w napiętych mięśniach ciała. Przez palce przesypuję ziarnka z dalekich kenijskich krain i jeszcze ze trzy, gramatura musi się zgadzać, teraz jedno odejmę. Zaciskam dłoń na tej pięknej stali młynka, czuję, jak mnie onieśmiela jej nieskazitelność. Mielenie to ciężka praca, parę razy się zmęczone, parę razy zmienię ręce, zanim opór ustąpi. Syczy woda, zalewam wrzątkiem bambusowy filtr, z dzbanka ją potem niesmaczną wylewam. Wsympuję zmielone ziarna, zalewam przestudzoną wodą – nie można zbyt ciepłą kawę katować. Trzy minuty trwa proces parzenia: woda znika jak deszcz w piasku, kroplami przelewa się do szkła już w nowej postaci. Pamiętam, trzynastozgłoskowo Mistrz to w poezję zamieniał, a to, wiesz, była epopeja, więc to jest ważne. Rozlewam napój do białych kubków, podkreślają jego ciemny czar. W domu już pachnie wspólną codziennością, pachnie drzewami, kwiatami i ziemią. Skup się na chwilę, czy potrafisz szczęście z tego ułożyć.

Siadamy, nogi w kokardę układam, ale kawa przypomina o naszej dorosłości. Dzieciom kawy pić nie wolno, a nam wolno i wolno nam wszystko, więc decyduj, co byś chciał. Podejdz zupełnie blisko, przyłóż mi usta do ucha, szepnij, jak nie potrafisz głośno. Wiem, nie zawsze potrafimy głośno, nie potrafimy blisko, ja też się czasem boję, choć teraz łagodniej, już nie tak potwornie. Ile rzeczy odmówiliśmy sobie ze strachu przed bólem, czy mógłbyś za mnie policzyć. Mówią, czas leczy rany: boli i przestaje, a mnie kiedyś zabolalo i już nie przestało. Wtedy smutek bezkształt przepaści przyjmuje i codziennie od nowa trzeba się trzymać, żeby znów w nią nie wpaść. Ale, widzisz, ta kawa wciąż jest pyszna, bo jak słońce wschodzi, tak świat nie przestaje istnieć, tylko my czasem znikamy. Tak małe biorę tyki, że nic prawie w kubku nie ubywa, jeszcze wiele dni przed nami.

Długo się bałam każdego złego samopoczucia, bo tak to chyba bywa, że jak ktoś w morzu tonął, to nawet kałuży potrafi się przestraszyć. Dlatego tak lubię, jak uśmiechasz się, kiedy ja psioczę, i że rozbawia cię to moje czasem zwątpienie, bo ja wtedy widzę, że to krople, a nie wodospad, i przez chwilę przepaść jakby się zasklepia.

Pod oknem kwitną bzy. Ich świeża woń wkrada nam się w zakamarki domu. Nie pierwszy raz czuję, nie pierwszy zapominam, czy potrafisz w pamięci zapach odtworzyć. On teraz jeszcze bardziej nas tu uobecnia, bo bzy pachną moimi blond włosami i naszymi splecionymi dłońmi i widzę twoją minę, myślisz: kliwłość, ale widzę, jak ci uśmiech na twarzy zażenowanie wypiera. Daj się jeszcze bardziej temu uwieść: zbiegnijmy po schodach prędkimi nogami, nogami posiniaczonymi od zabaw na podwórku, ale nie, to kiedyś było, teraz ostrożnie kroki stawiamy. Otwierają się drzwi klatki schodowej na to świegoczące ptasim śpiewem powietrze i można przez chwilę zapomnieć, że teraz tacy jesteśmy roztropni. Idziemy nie wiadomo dokąd, pod palcami mi uciekają białe płatki małe jak łezki. Czuję ciepło rozgrzanego betonu, ślady na zawsze na nim zostawiamy. Spójrz w niebo i pomyśl, że tam się wszystko pisze, bo czas, najdroższy, płynie wertykalnie. Pomyśl o tym, że każdy dotyk to już gdzieś na zawsze, widzisz, wszystko w istocie jest prawdziwsze niż nasze złudne o tym wrażenia. Świat nam za plecami nie znika, nie próbuj się od niego odwracać, i zdarzenia nie znikają przez twoją o nich niepamięć: chciałbyś zignorować; nic na to nie zaradzisz. Poczuj odpowiedzialność swojego istnienia, ale obiecuję, poczujesz też, że istniejesz. Pamiętasz, ja kiedyś pyłam, bo tak myślałam, jestem zbudowana, ale włóż mi palce między żebra, policz klawiaturę kości i przypatrz się uważnie, cała jestem w sieci błękitnych żyłek, zbliż się jeszcze, poczuj, że oddycham, ja naprawdę tu przy tobie jestem.

Wiem, jak trudno utożsamić się z każdym ze swoich dziesięciu palców. Czy gdy widzisz kość biodrową, myślisz, że to ty? Czy boisz się, że nie ma mnie w tym ramieniu, za które próbujesz mnie do siebie przyciągnąć? Ręce mogą odpaść, czy wtedy mniej będziemy sobą, czy ręk dusza gdzieś się w nas przeniesie, czy możesz mi teraz na to odpowiedzieć. Nadmiernie jednak mnie to nie zajmuje, bo wierzę, że wszystkiemu wiedzieć

nie możemy, wierzę, że wszystkiego wiedzieć nie musimy. Tyle jest czasów poza naszą pamięcią, tyle jest miejsc poza naszym ciałem.

Chodź, wejdziemy tu, kupimy coś do picia. Chciałabym, żeby było chłodne i słodkie. Chciałabym wargi sobie ssać i czuć owocowy smak długo po przełknięciu. Nie chcę zostawać tu sama i czekać na ciebie. Wejdźmy razem, pozwól mi choć jeden dzień cię z oczu nie tracić. Widzę swoje opalone uda, jak wylaniają się kolejno spod dzinsowej spódnicy i odsłaniają cienkie nadgarstki, w harmonijkę zwiijając rękaw, i dłonie opieram na twoich uskrzydłonych łopatkami plecach, szyję masz pochyloną. Nie dziwi mi się, chciałabym się przez chwilę za tobą schować, stań murem przede mną, czy siłą możesz wzrosnąć, czy moje czoło oparte na twoim kręgosłupie mięśnie ci napina, głowę ci podnosi.

Nie potrafię sobie przypomnieć, jak to było, kiedy cię nie znałam, kim ja byłam, zanim mi się wydarzyłeś. Tak mi smutno, że ta rozmowa jest niemożliwa, że nigdy się nie dowiesz, kim ty we mnie jesteś. I wiem: potrafię być ślepa na ciebie w tobie, czy my kiedykolwiek byliśmy tak naprawdę razem, czy tylko sobie siebie nawzajem na własność ukradliśmy albo z samotności z samych siebie nawzajem się wyodrębniliśmy. Dlatego lubię cię, kiedy mi się nie podobasz, kiedy cię nie poznaję, bo we mnie inny siedzisz. Wtedy zaczynam myśleć, że jednak faktycznie prawdziwą jesteś osobą i że realnie poza mną istniejesz. Wczoraj zobaczyłam kawałki potłuczonego szkła na podłodze w kuchni, rozbiłeś, zgadłam, szklankę po mleku. Przyjemność mi sprawiło odtworzenie tej chwili – a więc robisz coś poza moim spojrzeniem, więc dzieje się twoje życie poza moim odbiorem, nie jesteś tylko moim systemem odczuć. Najdroższy, nie wnoś na mnie skargi, ja wiem, że samą siebie próbuję tobie udowodnić, a tymczasem myśl o twoim autotelizmie wciąż mnie tak zadziwia i budzi wątpliwości. Nie oskarżaj mnie, bo to w chwilach słabości, kiedy umysł niepilnowany ucieka na bezdroża, a jego bunt głupi, bo nieporządek ufności budzić nie może, nieporządek to przed stworzeniem, to gdzieś przed czasem i światem, a ja przeżywam ten ciepły maj i w nim pachnące bzy. I mimo wszystko coraz głębiej cię poznaję, a twoja złożoność moim przewidywaniami zupełnie się wymyka. Wymujesz mi z oczu solipsystyczne patrzenia, które mnie wciąż czasem w samotną wszechmoc wpędzają.

Pamiętam, raz leżałam na twoim ramieniu, bo głowa jakby ulepiona, by tam najlepiej pasować, ale ty nie patrzyłeś wtedy na mnie. Widzisz, zazdrość wtedy z kolei poczułam, że ty jesteś kimś sam sobie, a nie tylko wobec mnie. I przykrość mi się piekąca w klatce rozlała, że może ty marzysz, abym ja kimś innym była i żeby moja skóra czyimś innym była ciepłem. Ale z czasem cicho i pomału wybudowała się we mnie siła i rozbijają się o nią te strachy, które wciąż rzucają się na mnie. Jednak czasem, najdroższy, sączą się szczelinami i przepraszam, że muszę nas wtedy potwierdzać. W twoich oczach też przyłapię niekiedy tę niepewność, którą ruch i zmienność świata rodzi, że to wszystko piasek i po wodzie

nasze palce piszą, bo jaką odpowiedzialność możemy wziąć za przyszłość, która faktycznie przecież nie istnieje i tylko jest jakąś czasu potencją. Wołasz wtedy napiętym swoim ciałem, gwałtownymi sztywnymi ruchami: niech ktoś obieca szczęście bez końca, na końcu niech ktoś obieca szczęście, a powiedz mi, kochanie: czy gdyby ktoś obiecał, to byś mu uwierzył.

Ja mam tajemnicę, nadstaw ucha, bo zaraz ją ode mnie usłyszysz. Proszę, usłysz ją ode mnie. Widzisz, mi ktoś właśnie obiecał i nie byle kto, tylko taki, co jak mówi, to trzeba mu wierzyć. Mówi słowo, a ono jest i jest bardziej i pewniej niż ja czy ty. Często wydaje mi się, że to ja je trzymam i ja je w sobie utwierdzam, a tak naprawdę to ono mnie podnosi i konstituuje, a ja bez niego nawet jednego oddechu wziąć nie mogę. Ty o tym nie wiesz, ale ja ci teraz zdradzę, że to samo słowo i ciebie przy istnieniu podtrzymuje, bo ktoś się wzruszył nad tobą i powiedział, powstrzymam go, bo w niebyt idzie. Czy czujesz już, najdroższy, godność, jaką w ciebie włożono, która zamiast szpiku znalazła się w twoich kościach i bez której jak spalony budynek twój szkielet by runął. Ale klęska nas nie spotka, bo my się troski o siebie wyzbywamy i już nie swoim jesteśmy zmartwieniem. Słowa wybraliśmy do budowania, jak sami ze słów obietnicy jesteśmy zbudowani. Mów, bo ja bym chciała cię słuchać.

Techno

Potknęła mnie ryba; lepkie, nieme wargi wessały mnie do środka. Czuję ciepło pulsujących bebechów. Temperatura ciała wzrasta, serce szybciej bije. Płynę przez oceany, taskoczą rafy koralowe, powoli znika światło. Śnię mi się piaszczyste złote brzegi.

Niech uważa, kto stoi. Przez moment wydawało mi się, że stoję, kiedy mnie podniosłeś, wtedy jakbym stała. W dół nie patrzyłam, a nogi pozostały koźlące, nie patrzę, trzęsą się. Rozczulenie budzi koźlątko, ja rozczulenia nie.

Niech uważa, kto stoi, żeby nie upadł. Skórę mam alabastrową, rumiane policzki, czy można być ładnym, jeśli nikt nie patrzy.

Krąży czarna planeta, niech brzydota zakwitnie. Czy kuląc się, na garba sobie nie zapracowałam, włosy z podłogi zbierałam, czemu łysej czaszki pod dłonią nie czuję, od człapania stopy powinnam mieć krowie.

Wydawało mi się, że mnie bardzo boli, ale nikt mnie nie skrzywdził, więc musiałam zmyślić. Zmyśliłam, że mam misję, ale nie mam, powiedzieli: nieważne, zajmij się sobą, przyjemnościami. Nie czyni poświęceń – nikt nie potrzebuje, a twoje apokalipsy impotentne, nawet ciebie samej nie potrafiły zniszczyć. Gdzie ta wielkość rzeczy, o której wyobrażenie w tobie rośnie. Wydawało ci się, że z wieżowca spadasz, a na płaskim się potknęłaś, bo nie rzeczy są wielkie, tylko ty cherlawca.

Słucham, słyszę trzepot, wciąż pieką mnie płuca. Spalony liść laurowy odstrasza komary, a czy ja bym mogła się do czegoś przydać. Trzęsą mi się nogi i pieką mnie płuca. Gdybym się spaliła, to ćmy ode mnie odlecą, po chwili powietrze będzie rześkie, trawa wyrośnie zieleńsza. Słyszałam, że w skarbonie popioły trzymasz, nie złoto.

Dokąd mogłabym pójść: włóż mi buty, szepnij dobrą radę. Wołałabym tu nie zostawać. Wołałabym w tym nie uczestniczyć. Przed wiekami patrzyłeś na świat, jego końce i początki, i gdybyś wtedy mnie przy sobie postawił, i powiedział: chciałbym cię z tego stworzyć, utkać cię z marność; z dna będziesz wyglądać tego, co boskie, ale ja pozostanę daleki. Duch będzie rozsadał ci kości i już na zawsze pozostaniesz tęsknotą i niepewnością. W każdym dniu rozpoznasz cuda, a ich piękno będzie cię wzruszać i dławić. Będziesz chodzić od niewiedzy do niewiedzy, na zawsze zgubiona w swoich przeświadczeniach, ale niebo uczynię gwieździste, umieszczę też w tobie żar, który nie pozwoli ci nie wstawać, który cię nie spali, ale też sam nie zgaśnie. Ja bym ci wtedy powiedziała: wołałabym nie.

Czy mógłbyś mnie wyciągnąć z istnienia, cofnąć słowo, które mnie stworzyło, ale niebo pozostawić gwieździstym. I czy dni przestaną być piękne, jeśli mnie nie będzie, żeby je oglądać. Nie jestem konieczna, wołałabym nie.

W sam środek nocy, *in medias res*, światła samochodów jak w świetle reflektorów idę tanecznym krokiem, tak już musi być. Szczelina w murze, wkładam w nią palec, stoję przy ścianie, drapię nią plecy. Ciemne drzwi, szczelina nocy, wchodzę i. Schodzę stopniami, kroki ciężkie jak upadki, nogi posiniaczone, piękne, jakby marmurowe. Po przekątnej idę ciasnego kwadratu, rozpościeram ręce. Łączę ramionami wąski korytarz, chcę wypełnić przestrzeń, nową zarządzić geometrię: linia prosta moich rąk ściany łączy, przez ściany przechodzi – nigdzie się nie kończy. Gdyby kto widział, pomyślałby: królowa. Pion postawy niepewny, a on przecież od zwierząt nas odróżnia. Chwiejność ruchów majestatu mi nie odejmuje: purpurowe usta, na nich pęknięcia, purpurowe rany, włosy w kształt korony mi się poczochraty. Kto spojrzy mi w twarz, zobaczy, jaka jest odległa, stanie bliżej, ruszą elektrony.

Trzy dni już w dół schodzę, czas mija powoli, pijana od piwa, czy to już Niniwa. Tętniące powietrze, dźwięk uderza mnie w plecy, przechodzi przez skórę, wibrują wnętrzności. Płaczą mnie światła laserów, do piwnicy zeszałam, na orbitę wyleciałam, kłamią, gdy mówią: nie uciekniesz grawitacji. Oczy przymrużam, pod powiekami wciąż tak kolorowo, trudno skupić myśli. Czy w tym świecie jakiś człowiek rzeczy ponazywał, takiego przykazania chyba tu nie było. Inne konszachty ktoś chce ze mną zawrzeć; boję się, że duszy tu nie upilnuję.

Po coś w to miejsce przyszałam, mającą mi w głowie rybie bebechy, czy tobie mogę spróbować coś dziś opowiedzieć. Mówię, człowieku, do ciebie, co obok wirujesz, czy pstrokaczna ci już uszy skleiła. Czy hipnotyzuję cię, rzucając na boki biodrami, czy ja fałująca inną rzeczywistość ci przed oczami stawiam, czy moje klepsydryczne kształty poczucie nieskończoności w tobie budzą, czy jej chłód mrozi ci żyły. Saturn ma z lodu pierścienie.

Niski sufit, w jaskinię chyba wszyscy wpełzaliśmy, czy wiedzieliście, że tu ukryto inną rzeczywistość, po lasach i betonach krążyły o niej wieści. Nie znaliście wcześniej takich kolorów, słuchajcie, jak grzmią, mięśnie jak we śnie się rozluźniają. Czujecie odprężenie, ja czuję niewiele, siebie to już wcale. Tempo ruchu wzrasta, co wlatuje, spadać nie musi, mogę biec już zawsze. Pachnie ta muzyka, dźwięczną wasze ruchy, ktoś tu stworzył przestrzeń z naszych synestezji.

Kolorowe guziczki i na nich napisy. Lubię słowa, litera po literze, te nie mają sensu, nie znam słów tych sensu. Zadziwiam się literą po następnej literze, kolorowe guziczki, księżyc tak smutną miał tej nocy twarz. Z rąk do rąk, popij, niech ci w gardle nie stanie,

a na jednym z księżyców Jowisza pod lodową powłoką więcej płynie wody niż na całej Ziemi. Burza dźwięków gęsto się zbiera, popij, dotrzymasz jej kroku. Pędzimy, naelektryzowani, a nasze ciała do nikogo raczej niepodobne. Jeśli znaleźmy funkcje swoich członków, ręk używaliśmy zgodnie z powołaniem i nóg wedle odwiecznych zamystów, to już nie pamiętamy: instrukcje kasujemy, nazwy zmazujemy. Impulsy nie płyną z mózgów, raczej z wnętrza Ziemi, może to czyjeś natchnione spojrzenie tak nas tu wygina. Pędzimy, bachantki, do pierwotnej jedności, ona przed rozumem, opadnijmy, zmęczone, w jej bezmyślną miękkość. Basy wytrzęsły ze mnie ukryte przeświadczenia, decyzyjność wygładziły, pragnienia ugasiły, barki rozluźniły. Czy to już jest wolność.

W jakim rytuale właśnie wzięłam udział, czy moja obecność miała coś odmienić, czy coś w tym miejscu miałam rozpoznać; szczypią mnie oczy, nie widzę zbyt dobrze. Sami dla siebie jesteście wszechświatem, relacyjność naszych istnień odstawmy na nigdy. Tak tu od nas gęsto, że czas nie ma gdzie płynąć, przestałam dostrzegać w swoim ciele śmiertelność. A jednak przyszedł koniec: ucichły kolory, muzyka skóry nie łaskocze, tylko nogi wciąż napięte i ręce wyciągnięte, głośniki już nie drżą, a ja się wciąż trzęsę, o lęk mnie przyprawia ta cisza, niech we mnie nie wchodzi. Rytm nasz ze spowolnieniem nie daje sobie rady, chodźcie, pogryziemy ściany. Brak tlenu nas wreszcie przymusi do wyjścia, upiorny poranek – my w nim upiorami. Czy litości mogę dla nas prosić, czy jak deszcz śnieg roztopi, to w nim utoniemy, czy może być mi to zupełnie obojętne.

Detaliczność świata, którego nie tworzą wibracje i odbłaski, drażni jak zbyt jasny ekran. Znowu pamiętam, jak bardzo jestem do siebie przykuta.

Nad głową mi rosną gałęzie, sięgają gdzieś w te szare wysokości, dziękuję, ja posiedzę; nadchodzi ciąg zmęczonych dni.

Na jednym z księżyców Saturna leżą jeziora ciekłego metanu i pada tam metanowy deszcz: krople wielkie jak bańki mydlane kotłuszają się pod bezbarwnymi chmurami.

Trupio błady koń

Upał wdziera mi się w płuca. Lubię, zatyka, jak zza ekranu. Miasto gotuje się w powietrzu, drżą chodniki, nad nimi budynki. Widziałam kiedyś, drżał tak człowiek, inni przestraszeni. Mięśni, kiedy zmęczone, nie mogą uspokoić. Drżenie co zapowiada? Pamiętam kipiące płyny na chemii, siedziałeś wtedy obok. W oczekiwaniu zastygłam. Czy myślisz, że to już?

Pulsujemy, trudno wyczuć, organizm ledwo żywy, ale wciąż. Stać w rzędzie to dla ciebie za mało, jak inaczej jedność sobie wyobrazasz, abcugi znierównałeś, uśmiech mamy przez ciebie szczybaty. Czy dumny jesteś ze swojego buntu, bezpieczeństwa biesy biegają po ulicach, z ciebie chyba wylazły.

Jechałam na rowerze, cięłam gęste budyń-powietrze, ściana praskiej kamienicy, przy niej dwa czarne kontenery. Patrzyły na mnie okami swych liter, odpady zmieszane, tak mi konstatują, blaszany daszek nad nimi falował, one też swą budę mają. Na odrapanym, jak stary wujek pijak napęczniałym i spękany murze budynku dwa rozległe od dymu zostawione cienie. Jakby ktoś namalował, pięknie ktoś tu namalował, kiedy w ogniu w inne miejsce odlatywał.

Innym razem szerokimi ulicami szłam w procesji, dzwony biły, trzeszczały głośniki, objaliśmy się ramię o ramię, nikt na siebie nie patrzył. Na ramionach tych samych Matkę Boską sobie podawali, jak gwiazdę rockową, ale mniej żywą, nieżywą zupełnie. Oczy miała otwarte, ani mrugnęła, porcelanowa twarz, harmonijne rysy, na głowie złota korona i ona nie spadła. Myśmy ją na tych ramionach nieśli jak trumnę, obleczoną ciężkimi naszymi oddechami, słońca nie było, księżycy nie było, było wtedy pochmurno.

A kiedyś czułam się młodo. Miałam opalone ciało i niewiele spałam.

Siedzieliśmy na krawężniku, słońce nam twarze grzało, usta pod wąsem krzywiłeś.

Piję herbatę, najlepsza na upały, tak słyszałam, lecz serce: ciepły napój – ciepłe wnętrze.

Piję z białej filiżanki, a usta mam koralowe, na białej porcelanie, zobacz, zostawiam koralowe ślady. Życie tchnęłam w tę martwą szlachetność, czy swoje chciałeś podobnie udowodnić. Rzadko filiżanka tak biała, rzadziej usta mam koralowe, szkoda, pięknie moje uszmkowane picie objawia się na obu stronach krawędzi. Domyślam się już, że we mnie musi jakieś dobro siedzieć, skoro w relacji z przedmiotem tak cudne tworzę wzory. Tobie kto zakrył oczy, że swoje przestałeś jako takie widzieć.

Ale zanim, to zawsze, od kiedyś aż do teraz, lecz nie dalej, czy pamiętam dokładnie: wstawiam czajnik na gaz. Zdejmuję wcześniej gwizdek, unikam stresu, niech mnie nie pośpiesza, władzy nad sobą przedmiotowi odmawiam, ja tu jestem Panią, ty głupi gwizdoryju. Wsypuję suche liście herbaty do dzbanka, wrzątkiem je tam zalewam, latają fusy jak pióra na wietrze. Czekam, aż się do czarności zaparzy i praską przeciskam fusy jak na wietrze pióra już nie polatają. Czy widziałeś we mnie kata, czy kiedy z nich esencję, to tobie tży z oczu cisnęłam?

Jakieś zło musi we mnie siedzieć, teraz się domyślam.

Lubię białą koszulę zapinać pod szyję, nie widać obojczyków, nie wiesz, czy je mam. Delikatnej skóry dekoltu pewnie się domyślasz, głupi, lepiej powinieneś wiedzieć – nie ma już jej tam. Hojnie krew swoją upuściłeś, fosę z niej sobie zbudowałam, nie tak łatwo jak kiedyś mnie teraz nastraszyć. W białej koszuli zapięta pod szyję siadam pod białą ścianą. Obraz, wisi moja głowa na ścianie, czy jakaś sztuka bardziej mnie oddaje?

Czy kiedy ja płaczę, to tobie serce gdzieś tam wtedy pęka.

Czas i przestrzeń, nie ma to znaczenia, matematyka do świata nijak nie przystaje. Nie ma więc powodów, abyśmy porozmawiać ze sobą nie mogli. Trudno mi jednak do ciebie zagaić, chyba też czujesz niezręczność takiego spotkania. Co ciebie zresztą moje sprawy mogą obchodzić, mnie też interesują dość umiarkowanie, więc może ty mi o swoich opowiedz. Czy mówić potrafisz teraz bez formy, czy semiotyka języka przepadła wraz ciałem?

Opierałeś ręce na nogach, w lekkim rozkroku siedziałeś, papierosa paliłeś. Odwracałeś do mnie głowę i śmiałeś się. Śmialiśmy się razem z tej naszej powagi z tych wielkich słów większych obietnic. Chodniki drżały nad nimi, budynki – od naszego śmiechu. Bujałeś się trochę bo zawsze muzykę słyszałeś i mówiłeś o miłości, o wieczności, o energii i przeznaczeniu. I wszystko to była prawda. Ale gdzieś się w Tobie jakieś kłamstwo tliło, złemu uwierzyłeś.

Ja zajmuję się bieganiem, ciała zadbanie, już na udzie różowych szlaczków nożem nie rysuję. Nie myśl jednak, że czujność straciłam: oko mam sokoła, ucho nietoperza; wiem, że się świat przed nami rozpada. Ja jednak odejdę mniej artystycznie – ogień raczej we mnie zgaśnie, niż wybuchnie. Przyjacielu, jak to tak zostawić mnie w ten skwar samą, odejść, zanim przyszedł, teraz muszę sama na niego czekać na kamieniu pod drzewem, w tym anturazie Samuela.

Ja zostałam, a śmiertelne też czułam zmęczenie. Nie ze strachu, ale ze skromności, wstać i wyjść, to nie dla nieśmiałych. Śmierci się nie boję, ja w nieistnieniu mam długie doświadczenie. Wepchnęłam się w tę pustkę wątpliwej ważkości osobą, to jest próżni aberracja, niedopilnowanie; boję się, że błędy ktoś w końcu naprawi. Na razie jednak z byciem próbuję się oswoić, a swoją bladością się tak nie zniechęcam. Przed spadaniem w skoku nie ma ratunku.

Pasta do zębów mi się skończyła. Zwiędła tubka, jeszcze próbuję wyciskać bezskutecznie. Rozciąłam nożyczkami, szczoteczkę zanurzyłam w suchych wnętrznościach, zęby szczotkuję okrężnymi ruchami, piana się w buzi mnoży. Słyszę stukot kopyt, ciągle stukot kopyt, czasem na karku odnajduję ciepłą wilgoć nozdrzy. Chodniki drżą nad nimi budynki, kiedyś ich krzywizny się w linie wyprostują, ciekawe, czy cię wtedy poznam.



Fot. Anna Matysiak